

Stanisław Rosiek

Jak rozmawiać w języku, którego się (prawie) nie zna?

Teksty Drugie : teoria literatury, krytyka, interpretacja nr 6 (126), 167-177

2010

Artykuł został opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej bazhum.muzhp.pl, gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.

Stanisław ROSIEK

Jak rozmawiać w języku, którego się (prawie) nie zna?

|

Lepiej rozmawiać niż nie rozmawiać. Zawsze tak – nie inaczej. Nawet wtedy, gdy można narazić się na śmieszność i drwinę, na czyjaś złość i gniew, naganę czy społeczne wykluczenie. Bez żywej rozmowy, bez ryzykownego dialogu spowalnia się życie społeczne. Kultura staje się przewidywalna. Powinniśmy więc rozmawiać o książkach (także nieprzeczytanych) i obrazach, nawet tych, których nigdy nie widzieliśmy. Podobnie z rozmową o muzyce, filmie, teatrze... Nie jest to zresztą kwestia czyjegokolwiek przyzwolenia lub jego braku. Żaden zakaz nie powstrzyma powszechnej praktyki: i tak rozmawiamy (i będziemy rozmawiać) o tym, czego nie znamy dostatecznie dobrze. Bez tej dezynwoltury, tej zuchwałości nie byłaby możliwa szeroka wymiana idei, swobodny ruch wartości, cyrkulowanie dzieł.

Doniosłość kulturowego manifestu Pierre'a Bayarda¹ nie polega na odkryciu, że często rozmawiamy o książkach, których nie czytaliśmy. To wiadomo było od dawna. Nam, Polakom wspaniałą lekcję nie-czytania dał Witold Gombrowicz, deklarując w *Dziennikach*, że nigdy nie zadał sobie trudu, żeby „porządnie przeczytać” książkę Brunona Schulza, z którym się przyjaźnił. Schulz taktownie nie przepłytywał go ze swojej twórczości. Być może dlatego – spekulował Gombrowicz – iż „było mu wiadomo [...], że sztuki wysokiego lotu prawie się nie czyta, że ona działa nieraz jakoś inaczej, samą obecnością swoją w kulturze”².

¹ P. Bayard *Jak rozmawiać o książkach, których się nie czytało?*, przeł. M. Kowalska, PIW, Warszawa 2008.

² W. Gombrowicz *Dziennik 1961-1966*, WL, Kraków 1989, s. 15.

Dociekania

Doniosłość kulturowego manifestu Pierre'a Bayarda nie polega też na praktycznych wskazówkach, jakie w końcu daje (każdy i tak radzi sobie w tym względzie po swojemu).

Poruszająca i godna najwyższego podziwu jest w jego książce odwaga i bezkompromisowość w demaskowaniu hipokryzji i związanych z czytaniem złudzeń. „Jeśli mamy – głosi Bayard – bez poczucia wstydu mówić o książkach, których nie czytaliśmy, musimy odrzucić tę fałszywą i przytłaczającą wizję nieskazitelnej kultury, wizję narzucaną nam od dziecka przez rodzinę oraz instytucje edukacyjne, wizję, w której przez całe życie bezskutecznie usiłujemy się odnaleźć”³. Musimy zatem – dodam – przyjąć cały szereg negatywnych kategorii, które opisują wizję alternatywną, takich jak nieciągłość, nielinearność, niepełność, niewyraźność, nieprecyzyjność, nieadekwatność, nieznajomość, nieidentyczność, nietożsamość, niedoskonałość...

Faktyczny byt literatury (kultury) jest inny niż ten, który odnajdujemy w podręcznikach do historii literatury (i kultury). Przyjmują one założenie, że wszyscy czytali wszystko. I wszystko pamiętają – a ich jednostkowa pamięć składa się na Wielką Pamięć Przeszłości, z której powszechnie korzystamy. Żadnych w niej luk, żadnych dziur czy nieciągłości.

A jednak inaczej się ta historia przedzie. Zastanawiające, że nadal aktualne są dzisiaj tezy ogłoszonego przed półwieczem manifestu Hansa Roberta Jaussa *Historia literatury jako prowokacja* (1967)⁴, który w niejednym dopuścił się plagiatu (przez antycypację) wobec książki Bayarda⁵. I tu, i tam ta sama niechęć do „przesądów historycznego obiektywizmu” i przekonanie, że dzieło literackie wiecznie się staje (zawsze na miarę czytających) i że publiczność czytająca „jest nie tylko stroną pasywną, łańcuchem automatycznych reakcji, ale sama jest też historiotwórczą energią”⁶. Ale Bayard idzie dalej niż Jauss. Postuluje na koniec, by porzucić czytanie na rzecz pisania – własnej twórczości, do której prowadzi lektura książek (których się nie czytało).

||

Pójść krok dalej niż Bayard – oto zadanie, jakie sobie stawiam. Przedmiotem krytycznej refleksji uczynić nie ten czy inny t e m a t wypowiedzi (który nie jest w pełni znany), lecz jej j ę z y k (nad którym mówiący w pełni nie panuje). To przejście – od „r o z m a w i a ć o czymś” do „r o z m a w i a ć w jakimś języku” – pozwoli dostrzec i zanalizować uniwersalny mechanizm społecznej wymiany: komu-

³ P. Bayard *Jak rozmawiać o książkach...*, fragment z czwartej strony okładki.

⁴ Por. polskie wydanie: H.R. Jauss *Historia literatury jako prowokacja*, przekł. M. Łukasiewicz, posł. K. Bartoszyński, Wydawnictwo IBL PAN, Warszawa 1999.

⁵ Wedle zasady opisanej przez P. Bayarda w książce *Le plagiat par anticipation*, Les Édition de Minuit, Paris 2009.

⁶ H.R. Jauss *Historia literatury jako prowokacja*, s. 142.

Rosiek Jak rozmawiać w języku, którego się (prawie) nie zna?

nikację werbalną w ogóle, bez wskazywania na jej tematyczne odniesienia i zakreślenia. I tu także odstąpić można bez trudu szereg złudzeń i niejedno tabu krępujące swobodę językowej ekspresji.

Jednym z fundamentów każdej komunikacji jest – jak wiadomo – uzgodnienie kodu między nadawcą a odbiorcą. W klasycznej już dzisiaj pracy *Poetyka w świetle językoznawstwa* Roman Jakobson, stawiając kwestię efektywności komunikacji, zwracał uwagę, że po to, by ją osiągnąć, „konieczny jest kod w pełni lub przynajmniej w części wspólny dla nadawcy i odbiorcy”⁷. Wynika stąd, że im część wspólna jest większa, tym porozumienie łatwiejsze i skuteczniejsze. Teoretycznie rzecz ujmując, można by wskazać na sytuacje skrajne (a zarazem przeciwstawne): pełnej tożsamości kodu (wszyscy mówią tym samym językiem) i zupełnej ich rozłączności (każdy mówi po swojemu).

Nic nowego pod Słońcem. W biblijnej przypowieści to sytuacje, w jakich znajdowali się ludzie przed i po zburzeniu Wieży Babel. Zastanawiająca zgodność. Czytanie strukturalisty Jakobsona i Księgi Rodzaju prowadzi do tych samych wniosków. Wspólny dla nadawcy i odbiorcy kod („Cała ziemia używała wtedy jednej mowy, czyli tych samych wyrazów” Rdz 11,1⁸) jest warunkiem porozumienia, rozbitcie bądź nietożsamość kodu prowadzi natomiast do zerwania i niemożności komunikacji („już nie rozumieli się wzajemnie” Rdz 11,7⁹).

Pomiędzy tymi dwiema skrajnymi sytuacjami rozciąga się sfera możliwości pośrednich – to tam ulokowana jest rzeczywistość komunikacyjna, w jakiej jesteśmy zanurzeni.

Posługując się językiem (swoim i obcym) milcząco przyjmujemy dwie zasady: że należy dążyć do opanowania pełnego kodu i że bez spełnienia tego warunku nie jest możliwa każdorazowo skuteczna komunikacja.

Obydwie te zasady chciałbym poddać krytyce. Kod wspólny dla nadawcy i odbiorcy to tylko teoretyczne założenie, więc w językowej praktyce nie ma co dążyć do osiągnięcia niemożliwej tożsamości. Zupełna rozłączność kodów nie wyklucza skutecznej komunikacji. Nawet wtedy możliwe jest jakieś porozumienie. Nawet wtedy należy podejmować trud nawiązania kontaktu i dialog. Zaczynam

⁷ R. Jakobson *Poetyka w świetle językoznawstwa*, (1960), w: tegoż *W poszukiwaniu istoty języka. Wybór pism*, t. 2, wyb., red. nauk. i wstęp M.R. Mayenowa, PIW, Warszawa 1989, s. 81.

⁸ Korzystam z nowego przekładu: *Biblia. Pismo święte Starego i Nowego Testamentu*, w przekładzie z języków oryginalnych ze wstępem i komentarzami, opracował zespół pod redakcją ks. M. Petera i ks. M. Wolniewicza, Wydawnictwo Święty Wojciech, Poznań 2009. W Biblii Tysiąclecia (*Pismo święte Starego i Nowego Testamentu*, w przekładzie z języków oryginalnych, opracował zespół biblistów polskich z inicjatywy benedyktynów tynieckich, Pallotinum, Poznań–Warszawa 1989) werset ten brzmi tak: „Mieszkańcy całej ziemi mieli jedną mowę, czyli jednakowe słowa” (Rdz 11,1).

⁹ Biblia Tysiąclecia: „jeden nie rozumiał drugiego” (Rdz 11,7).

Dociekania

więc od przypadku skrajnego. Z tytułu znika słówko „prawie”. Stawiam teraz takie pytanie:

Jak porozumiewać się w języku, którego się z u p e ł n i e nie zna?

III

A jednak – nie żyjemy w epoce „po Wieży Babel”, *after Babel* – jak tytułuje swoją słynną książkę Georg Steiner. Prawda, że istnieją obok siebie tysiące języków (dokładniej: jest ich dzisiaj sześć lub siedem tysięcy, a było znacznie więcej). Prawda, że większość ludzi zna tylko język ojczysty. Nie przekreśla to jednak szansy na porozumienie z innymi. Mowa jest pochodną ciała. Różne sposoby artykulacji są realizowane przez te same pod względem anatomicznym i fizjologicznym narządy. Ciało daje ten sam u podstaw sposób zmysłowego doświadczania świata¹⁰. Oto nieredukowalny fundament komunikacji ludzkiej. Zapowiedź dobrej nowiny. Cała reszta – różnorodność leksykalna czy syntaktyczna języków – to rzecz drugorzędna. Podobnie z różnicami kulturowymi. Najważniejsze jest cielesno-zmysłowe osadzenie w świecie. To dzięki temu było możliwe w przeszłości nawiązanie pierwszych językowych kontaktów między przedstawicielami odmiennych kultur. Kupiec, podróżnik, zdobywca – działający w różnych epokach i różnych miejscach świata – pokazywali, że pomieszanie języków jest czymś odwracalnym. Naznaczone przez Boga kara okazała się nieskuteczna. Jakby Wieży Babel nigdy nie było.

Warto by przeczytać pod tym kątem relacje podróżników, odkrywców nowych lądów i nowych ludów, opowieści kupców wędrujących z towarem (i po towar) w dalekie strony, zdobywców cudzych ziem i cudzego bogactwa, misjonarzy nawracających dzikusów. Pozostawione przez nich świadectwa pozwoliłyby dokładnie zbadać mechanizm niwelowania różnic między obcymi sobie językami.

Tu starczyć musi przykład literacki.

Na wyspie Robinsona – słynnego bohatera powieści Daniela Defoe – pojawia się grupa dzikich Karaibów, ludożerców, którzy przywożą ze sobą jeńców. Wedle miejscowego zwyczaju mają być oni zjedzeni. Jednego z nich Robinson ratuje. Dzicy odpływają. Na wyspie pozostaje Robinson i uratowany młodzieniec. Ich pierwszy kontakt nie ma jeszcze charakteru językowego. Robinson, by ośmielić obcego, daje mu znaki ręką, ten zaś – jak relacjonował: „W końcu znalazł się obok mnie, a wówczas ukląkł, ucałował ziemię, położył na niej głowę i chwyciwszy mą stopę położył ją na ciemieniu. Znak ten, jak sądzę, wyrażał przysięgę wierności i wiekuistego poddaństwa”¹¹. I później także „rozmawiali znakami”. Robinson, zbliżając się coraz

¹⁰ Każdy zgadnie, że za tymi zdaniem kryją się myśli Maurice Merleau-Ponty’ego.

¹¹ D. Defoe *Przypadki Robinsona Kruzoa*, przeł. J. Birkenmajer, red. J. Kott, PIW, Warszawa 1957, s. 224-225. Fragment ten w oryginale angielskim ma postać: „at length he came close to me, and then he kneel’d down again, Kiss’d the ground, and laid his head upon the ground, and taking me by the foot, set my foot upon his head; this it seems was in token of swearing to be my slave for ever” – cyt. za D. Defoe *Robinson Crusoe*, introd. G.N. Pocock, London–New York 1972, s. 148.

Rosiek Jak rozmawiać w języku, którego się (prawie) nie zna?

bardziej do dzikusa, postanowił pewnego dnia „uczyć go słów angielskich”. W powieści dokładnie opisany został początek tej nauki: „najpierw dałem mu poznać, że będzie się nazywał Piętaszek, bo był piątek, kiedy ocaliłem mu życie; tak go na pamiątkę tego dnia nazwałem. Podobnie nauczyłem go słowa «pan», dając mu do poznania, że to jest moje imię, a także słów «tak» i «nie», tłumacząc mu, co one znaczą”¹². Uczeń robił szybkie postępy. Wkrótce mogli porozumiewać się po angielsku w najpotrzebniejszych rzeczach. Po roku Piętaszek „począł już mówić wybornie”¹³. Robinson mógł prowadzić z nim zajmujące pogawędki, a wreszcie całkiem poważne dysputy o Bogu, szatanie i prawdziwej wierze.

Ta asymetryczna nauka języka nie polegała – jak widać – na szukaniu językowych odpowiedników, na porównywaniu dwóch kodów i tworzeniu słownika. Robinson nie był ciekaw języka Piętaszka (choć po usłyszeniu słów obcego przyznawał: „choć ich nie rozumiałem, przecie miały dla mnie brzmienie przyjemne, gdyż pierwszy to był głos ludzki, jaki postyszałem od dwudziestu pięciu lat z górą”¹⁴). Jak wielu przed nim i po nim, wprowadzał dzikusa w tajniki angielszczyzny. I dopiero wówczas, gdy ten w dostatecznym stopniu opanował jego ojczysty język, podjął z nim rozmowę – prawdziwą angielską konwersację.

Można jednak wyobrazić sobie inny początek porozumienia. Nie tak władczy i arogancki¹⁵. Obustronne rozpoznawanie słowa własnego w słowie obcym. Kto wie zresztą, czy nie powinno uczyć się w szkołach nie tylko konkretnych języków (nadając siłą rzeczy niektórym rangę uprzywilejowaną), lecz również czegoś w rodzaju uniwersalnego protokołu komunikacyjnego, który można by zastosować w sytuacji spotkania dwóch osób mówiących innymi językami. Od czego powinni zaczynać? Oto propozycja pierwszych uzgodnień:

1. ja – ty – on (to)
2. tu – tam
3. teraz – wcześniej – później
4. tak – nie
5. dobrze – źle

¹² Tamże, s. 227; „I made him know his name should be Friday, which was the day I sav'd his life; I call'd him so for the memory of the time; I likewise taught him to say Master, and then let him know, that was to be my name; I likewise taught him to say hest and no, and to know the meaning of them” (s. 150).

¹³ Tamże, s. 235; „Friday began to talk pretty well” (s. 155).

¹⁴ Tamże, s. 225; „and though I could not understand them, yet I thought they were pleasant to hear, for they were the first sound of a man's voice that I had heard, my own excepted, for above twenty five years” (s. 148).

¹⁵ Mam nadzieję, że budujące przykłady otwartości i tolerancji dla wszelkich „obcych” napotykanych na drodze da się odnaleźć w relacjach podróżników, odkrywców, zdobywców nowych światów o pierwszych kontaktach językowych. Warto też poddać szczegółowej analizie tworzone przez nich słowniki nieznanych języków, bo w nich właśnie spontanicznie tworzone musiały być międzykulturowe pakti.

Dociekania

I tak dalej, i tak dalej. Tego rodzaju matryce, uwzględniające struktury podstawowe dla wszystkich (lub choćby dla wielu) języków, mogłyby być wypełniane przez tych, którzy chcieliby podjąć trud porozumienia się, a nie znalazłyby żadnego języka wspólnego. Dzięki nim świat na nowo odzyskałby tożsamość zagubioną w różnorodności ludzkiej mowy.

Innej drogi chyba nie ma. Nie poznamy przecież wszystkich żywych dzisiaj języków. Zawsze więc stanąć możemy na miejscu Robinsona lub Piętaszka. Świat coraz bardziej się przed nami otwiera. Poliglotyzm osłabia problem komunikacyjny, lecz go przecież nie rozwiązuje. Nikt nie zna tylu języków, by porozumieć się z każdym, kto akurat przecina ścieżkę jego życia. Angielski, mający status języka globalnego, okaże się nieskuteczny w Chinach i w krajach arabskich, w Ameryce Południowej. Może więc lepiej opracować strategię rozpoczynania kontaktów i zawierania kontraktów językowych od punktu zero: ja – ty – on (to), Robinson – Piętaszek – odcięta głowa ludożercy.

Podstawą takich uzgodnień jest tożsamość cielesnego istnienia i zmysłowego osadzenia w świecie. Podstawą jest więc podobieństwo doświadczenia ludzkiego. Choć należeli do innych kultur, Piętaszek i Robinson znajdują się po tej samej stronie. Początek kontaktu z wysłannikami cywilizacji pozaziemskich musiałyby przyjąć inną podstawę. Należałoby chyba najpierw uzgodnić wspólny kanał komunikacyjny. Oko i ucho, a także język – to narzędzia swoiście ludzkiego sposobu bycia w świecie. To dzięki nim świat jawi się nam w takiej, a nie innej postaci. Dlatego obawiam się, że komunikat dla kosmicznych istot pozaziemskich wysłany w kosmos w latach 70. na pokładzie sondy Pioneer – była to plakietka z aluminium przedstawiająca sylwetki kobiety i mężczyzny, dwa atomy wodoru, schemat Układu Słonecznego ze wskazaniem pozycji Ziemi i inne tego rodzaju informacje – nie zostałyby w ogóle dostrzeżony. Skąd przekonanie, że Obcy mają oczy do patrzenia?

IV

Gdy (jeden) człowiek staje naprzeciw (drugiego) człowieka, a zwłaszcza gdy obydwoj są pełni dobrej woli, podejmowane przez nich próby przekraczania bariery językowej i porozumienia prędzej czy później skończą się sukcesem. Połączy ich identyczne u swoich podstaw doświadczenie. Minie kilka tygodni, kilka miesięcy i Robinson będzie przyjemnie gawędził z Piętaszkiem. A Piętaszek? Jak to wygląda z jego strony? Rozmawiał z Robinsonem po angielsku. Porzucił własny język (podobnie jak porzucił własną wiarę i własne obyczaje, uznając wyższość chrześcijaństwa i cywilizacji Zachodu). Asymetria ich dialogu i na tym także polegała, że każdy z nich inaczej osadzał się w angielszczyźnie – jeden lepiej, drugi gorzej. Ten drugi stanie się teraz moim bohaterem. To jemu – Piętaszkowi – poświęcam mój tekst, który przerodzi się za chwilę w krótki poradnik, jak rozmawiać w języku, którego się – prawie – nie zna.

Już na wstępie pojawia się niemały kłopot ze zdefiniowaniem słowa „prawie”. Pomiedzy absolutną kompetencją językową a absolutną ignorancją rozciąga się nie-

Rosiek Jak rozmawiać w języku, którego się (prawie) nie zna?

skończony zbiór możliwości: indywidualnych idiomów, prywatnych języków, urzekającej wymowności, dukania, gładkich złotoustych i posępnych milczków, mowy wyrafinowanej i eleganckiej oraz prostackiej. Na ogół trudno wyskalować i uporządkować ten rozległy obszar. I trudno się w nim raz na zawsze umieścić. Nasze językowe kompetencje i umiejętności zmieniają się nieustannie. Przyjmijmy więc, że jesteśmy po wysłuchaniu pierwszej lekcji Robinsona. „Prawie”, o którym będę pisał, to zatem nie poziom FCE czy advanced – to poziom Piętaszka.

V

I sobie, i Piętaszkowi mówię: porzućmy najpierw zbyt wygórowane wyobrażenia (i nadzieje) związane z komunikacją w obcym języku. Posługując się na co dzień mową ojczystą, jesteśmy zwykle bardziej pragmatyczni (i tolerancyjni) niż wtedy, gdy wkraczamy na teren języka obcego. Może dlatego tak się dzieje, że obce, a więc zewnętrzne wobec nas języki sprawiają wrażenie bytów idealnych. Tak je zresztą najczęściej poznajemy. Poprzez słowniki i gramatyki, które stoją na straży poprawności, nie znają więc błędu, ale też życia z jego nieprzewidywalnością. Język ojczysty natomiast – uwewnętrzniony i swojski – jest naszą miarą i na naszą miarę. Jest więc nieuchronnie ułomny, niepełny, niedokładny, niestaranny...

I sobie, i Piętaszkowi przypominam zatem kilka elementarnych właściwości językowej ekspresji, o których najczęściej zapominamy, gdy mówimy w obcym języku, a które przyjmujemy na ogół za oczywiste, gdy posługujemy się językiem ojczystym:

1. Idea absolutnej poprawności jest nieosiągalna – i niebezpieczna dla najważniejszego celu komunikacji językowej. Chęć sprostania regułom gramatyki hamuje bowiem swobodę indywidualnej ekspresji. Wieczny dylemat: mówić poprawnie – mówić skutecznie, należy uchylić. Stawką nie jest bowiem gramatycznie poprawne mówienie, lecz porozumienie.
2. Powiedziane nie jest tym samym, co pomyślane. Mówiąc, myślimy jakby trochę „na zewnątrz”, idziemy za słowem, to ono nas prowadzi, podsuwając nam czasem najlepsze myśli. I nic w tym nie ma złego, Piętaszku.
3. Nigdy nie mówi się wszystkiego, co chce się (lub co powinno się) powiedzieć. Należy więc mężnie znosić nieprzyjemne poczucie niepełnego wysłowienia, niedosyt ekspresji. Mówi się zawsze „tylko trochę”. Często daje się tylko do zrozumienia. I tak zresztą powiedzianego jest zawsze mniej niż tego, co pozostało, co jest jeszcze do powiedzenia.
4. Nie rozumiemy wszystkiego, co do nas mówią inni. I nie musimy rozumieć wszystkiego, by się porozumiewać. Rozumienie jest prowizoryczne i aproksymacyjne. Jedynie zbliżamy się do sensu (do intencji). Inaczej zresztą rozumie się mowę żywą, inaczej tekst. Wobec komunikacji werbalnej zawodzą tradycyjne hermeneutyki. Przystaje obowiązywać zasada przekraczania intencji. Mówiący może w każdej chwili powiedzieć: „Nie to miałem na myśli. Nie zrozumiałeś mnie”. I choćbyś Piętaszku zrozumiał swojego rozmówcę – jak zaleca

Dociekania

Wilhelm Dilthey¹⁶ – lepiej niż on sam siebie, to i tak jemu przypada w udziale prawo rozstrzygnięcia ewentualnego sporu hermeneutycznego.

VI

Najwyższy czas przejść do części praktycznej. Oto więc dziesięć rad dla Piętaszka. Rzecz najważniejsza to dobrze (wygodnie i bezpiecznie) umieścić się w mowie. Wiedzieć, jakie zagrożenia czyhają, gdzie ukryte są rafy i podziemne skały. Wykorzystać język, płynące w nim prądy na własną korzyść.

1. Pierwszym takim prądem jest modalność – dla Piętaszka zbawienna. Powinien on zawsze, gdy to możliwe, wyrażać emocjonalny stosunek do treści swojej wypowiedzi. Nie dość, że jako mówiący zyska wyrazistość, to jeszcze – posługując się orzeczeniami modalnymi – uprości skomplikowane zwykle zasady zarządzania czasownikami i ich odmianą. Wystarczy znać formę pierwszej osoby czasowników „chcę”, „mogę”, „muszę”, „lubię”, by – dodając do nich bezokoliczniki – stworzyć niezliczoną ilość pięknych zdań. Podobnie łatwe w użyciu są wyrażenia nieodmiennie: „trzeba”, „można”, „warto”, „wolno”, „powinno się”. I choć powstające w ten sposób zdania są w sensie gramatycznym bezpodmiotowe, to i tak tkwi w nich ukryty podmiot osobowy. Modalność sprawia, że mówienie staje się „ego-centriczne”.
2. Piętaszkowi sprzyja też właściwy wszelkiemu mówieniu nadmiar informacji, powtarzalność, dublowanie (na poziomie strukturalno-gramatycznym i semantycznym). Ktoś, kto próbuje rozmawiać w języku, którego prawie nie zna, powinien głosić pochwałę redundancji i wszelkich jej form zdegenerowanych: tautologii, pleonazmów, gładzenia ciągle o tym samym. Dzięki nim bowiem może liczyć w słuchaniu i rozumieniu na jeszcze jedną szansę. Podobną szansę dają kunsztowne figury retoryczne: paralelizmy, symetrie, anafory...
3. Piętaszek jest skazany na język przedmiotowy. W „grze elementów uniwersalnych i jednostkowych”, której – zdaniem Jakobsona – językoznawcy na ogół nie doceniają, powinien stanąć zdecydowanie po stronie konkretnego. Nic dla Piętaszka gorszego, jak „wypowiedź przesunięta”, która „uwalnia mówienie od przymusu *hic et nunc* i pozwala [...] odnieść się do odległych zdarzeń w przestrzeni i w czasie, a nawet zdarzeń fikcyjnych”¹⁷. Wynika stąd, że należy pozostawać w rozmowie w granicach tu i teraz, nie sięgać w przeszłość, nie wybiegać w przyszłość, trzymać się tego, co rzeczywiste – bliskie i dotykalne. Idealnym byłoby, ażeby przedmiot, o którym mowa, pozostawał w zasięgu ręki. Na metajęzyk, dający Robinsonowi niewątpliwą przewagę, przyjdzie czas.

¹⁶ Por.: W. Dilthey *Powstanie hermeneutyki*, w: tegoż *Pisma estetyczne*, przekł. K. Krzemieniowa, oprac., wstęp i kom. Z. Kuderowicz, PWN, Warszawa 1982, s. 310.

¹⁷ R. Jakobson *Komunikacja werbalna* (1972), w: tegoż *W poszukiwaniu istoty języka*, s. 368.

Rosiek Jak rozmawiać w języku, którego się (prawie) nie zna?

4. Dla Piętaszka, nowicjusza w angielszczyźnie, byłoby najlepiej, gdyby nie miała ona historii (ponieważ jego historia w tym języku dopiero się zaczyna), gdyby nie zawierała form spetryfikowanych, idiomatycznych. Daremne nadzieje. Nawet Robinson nie jest w stanie nic zrobić, by słowa zapomniały o swojej przeszłości i sprawiały wrażenie jakby po raz pierwszy były używane i zestawiane z innymi słowami. Idiomatyka to przekleństwo. Wie o tym każdy, kto podjął próbę nauki obcego języka. Piętaszek może jednak do pewnego stopnia wybierać pomiędzy – wedle rozróżnienia Basila Bernsteina – kodem rozbudowanym a kodem ograniczonym. Ten ostatni „w formie czystej reprezentuje taka wypowiedź, która – choćby była najbardziej złożona – pozwoli mówcy i słuchaczowi precyzyjnie i bez trudu przewidzieć wszystkie słowa, jakie będą w niej występowały, a w rezultacie i jej strukturę”¹⁸. Przykłady podane przez Bernsteina wyjaśnia w czym rzecz: „rytualne formy kontaktów: kontakty protokolarne, różnorodne posługi religijne, stereotypowe zachowania w czasie *cocktail-party*, pewne sytuacje występujące w trakcie opowiadania”¹⁹. Znacznie więcej swobody dają kody rozbudowane. To dzięki nim i w nich jednostka może przekazać jednostkowe doświadczenie.
5. W komunikacji werbalnej równie ważne – kto wie nawet, czy nie ważniejsze – jest to, co pozawerbalne: oddech, intonacja, rytm, melodia, barwa głosu, mimika (tu zwłaszcza ułożenie ust), gestyka, mowa ciała²⁰ – słowem: to, kim naprawdę jesteś i czego naprawdę chcesz, Piętaszku. A także i ty, Robinsonie. Tego nie znajdziecie w słownikach i gramatykach. Ta nadwyżka komunikacyjna – ciągle jeszcze nieopisana należycie – rządzi się własnymi prawami. Raczej aktor niż gramatyk powinien być w tym wymiarze ekspresji nauczycielem i mistrzem. Mówienie to teatr. Mówiąc po francusku, trzeba grać Francuza, po angielsku – Anglika.
6. Gdy staje się naprzeciw rozmówcy i zabiera głos, ważniejsze od powiedzenia mu czegoś, jest to, że się coś do niego mówi, że wchodzi z nim w kontakt – a zatem nie sam przekaz, lecz zdarzenie komunikacyjne łączące na pewien czas ludzi. Utrzymuj się więc, Piętaszku, przy głosie za wszelką cenę. Nie zawieszaj, nie zrywaj kontaktu z rozmówcą. Patrz w oczy Robinsona, nawet jeśli nie rozumiesz, co do ciebie mówi. Nie przerywaj rozmowy, chyba że już w ogóle nie wiesz, o czym mowa.
7. Mówienie rzadko sprowadza się (i ogranicza) do samego mówienia. Zazwyczaj jest częścią działania, rozmowa – współdziałaniem. Tego akurat Piętaszka uczyć nie trzeba. W czasie pierwszego spotkania z Robinsonem nie znał jeszcze sło-

¹⁸ B. Bernstein, *Socjolingwistyka a społeczne problemy kształcenia*, w: *Język i społeczeństwo*, red. M. Głowiński, Warszawa 1980, s. 96.

¹⁹ Tamże.

²⁰ Musi to być prawda, skoro nawet w popularnych poradnikach komunikacji interpersonalnej podaje się, że ta pozajęzykowa sfera przekazu zajmuje w nim od 35 do 65%.

Dociekania

wa „szabla”, gdy o nią gestem poprosił, by jednym uderzeniem odciąć głowę wrogowi. Nie tylko i nie przede wszystkim lekcje angielskiego, lecz współdziałanie i współpraca dwu mieszkańców bezludnej wyspy sprawiły, że stworzyli wspólną (choć asymetryczną) przestrzeń językowej komunikacji. Podobnie z wyrażaniem uczuć i emocji. One także nadać mogą sens niezrozumiałym słowom – tak samo miłosnym wyznaniom, jak okrzykom nienawiści. Trzeba więc rozumieć strukturę zdarzeń, (współ)działania, logikę uczuć, ponieważ nadbudowująca się ponad nimi siatka słów w nich znajduje swoje źródło i swój sens.

8. Gdy jest się Piętaszkiem, nie należy oddawać Robinsonowi inicjatywy komunikacyjnej. Trzeba być raczej nadawcą niż odbiorcą. To rada najtrudniejsza do wypełnienia. A jednak – lepiej nieskładnie mówić w języku, którego się (prawie) nie zna, niż słuchać, jak ktoś posługuje się nim perfekcyjnie (mówi szybko i pewnie, w sposób wyrafinowany, precyzyjnie dobierając słowa). Na słuchaczu spoczywa ciężar rozumienia. Nieźle zatem postąpi ten, kto przerzuci ten ciężar na swojego rozmówcę. Robinson zalewa cię strumieniem słów. Nie masz wyjścia, Piętaszku. Ratuj się pytaniami. Zadawaj ich jak najwięcej (nie będziesz pytany). Ten kto pyta kieruje rozmową. To ty nią kieruj.
9. Ten sam cel osiągnąć można, inicjując nowe tematy. Język jest – jak wiadomo – cudownym wynalazkiem, który pozwala powiedzieć wszystko lub prawie wszystko. Jest tematycznie bezkresny. Nie ma w nim samym żadnych nacisków, by mówić o tym czy o tamtym. Skoro więc tylko od rozmówców zależy, o czym rozmawiają, przeskakuj co chwila z tematu na temat, zwłaszcza wtedy, gdy poziom komplikacji dotychczasowej rozmowy staje się zbyt wielki. Budowa czółna, podtrzymywanie ognia, jedzenie ludzkiego mięsa, wyższość Boga chrześcijan nad Benamukim – wszystko to równie dobre tematy do konwersacji.
10. Gdy już zawiodą wszystkie sposoby zastosuj ten ostatni – pasywny: bądź echem swojego rozmówcy. Powtarzaj zapamiętane frazy z jego ostatniej wypowiedzi. Zmusisz go w ten sposób do doprecyzowania tego, co chciał powiedzieć. Powtarzaj jego słowa z intonacją pytającą, ze zdziwieniem – zwłaszcza wtedy, gdy ich nie rozumiesz. Z całą pewnością udzieli ci dodatkowych wyjaśnień. Nie tylko zyskasz na czasie. Powtarzając, uczysz się mówić w czasie rozmowy. Nie ma lepszego sposobu, żeby poznać język Robinsona. Najwyższy czas na wnioski.

Rosiek Jak rozmawiać w języku, którego się (prawie) nie zna?

Abstract

Stanisław ROSIEK
University of Gdańsk

How to Speak a Language you (Hardly) Know?

The essay opens with a reference to Pierre Bayard's attempt he made in his book *How to Talk About Books You Haven't Read* at disclosing a certain cultural illusion having to do with reading and talking about what has (not) been read. The presently proposed consideration reflects upon not a selected topic of utterance or speech (not quite well known to the uttering person) but instead, its language (which is not completely under his or her control). It is noted that language communication tends to tacitly assume two illegitimate rules: [1] command ought to be grasped of a complete code; and, [2] without the said condition being met, no efficient communication is feasible at any instance. Yet, these rules have been many a time abolished in the communicational praxis, where representatives of communities being mutually alien culturally and language-wise are confronted. A synthetic foreshortened image of civilisation-related experiences is the meeting of Robinson and Friday in Daniel Defoe's novel. The asymmetry in their communication occurs as one of the actors superimposes his own language on the other, precluding upfront any reciprocal relation whatsoever. Friday, initially a mute man, gradually gains increasing linguistic competence, rejects his native speech (and his own culture together with it), eventually consenting for superiority of English (the language and its associated customs) wherein he inevitably assumes a weaker position. Taking the side of the inferior party, the author offers him ten pieces of advice of how to use a language one can hardly speak, to survive, and stay within the confines of a communication game.